

Wacław Holewiński

Twe oczy umarłą postrzegą

Popołudniem, dwudziestego trzeciego dnia grudnia roku tysiąc sześćset czterdziestego, przy zapadającym już zmierzchu, pod rezydencję zwaną De Halle van Lier przy Hoogstraat czterdzieści trzy, podjechała niewielka karoca zaprzęzona w dwa starannie ułożone siwki.

Gość musiał być oczekiwany, bo zanim wysiadł, drzwi do domu zostały otwarte i stanęła w nich służąca w białym czepku skrywającym podwójnie spleciony warkocz. Wzięła od gościa opończę, która czyniła niewidocznym kruczoczarny habit i poprowadziła go ledwie, ledwie oświetlonym korytarzem do pracowni. Siedzący w jej centralnym punkcie malarz nawet na moment nie przerwał pracy, za to uczniowie, których było sześciu czy siedmiu, jak na komendę spojrzeli na intruza.

– Mistrzu – przybyły nie mógł pochodzić z Antwerpii, w jego głosie, prócz chrypy spowodowanej chorobą, dał się słyszeć, charakterystyczny dla wielu ludzi z południa, obcy akcent.

Jordaens powoli odwrócił głowę. Miał czterdzieści siedem lat, ale wyglądał na znacznie starszego. Powagi dodawały mu śmiesznie podkręcone do góry wąsy i starannie przystrzyżona w trójkąt broda. Dokładnie wytarł ręce w szmatę okrywającą mu dotąd kolana.

Gestem dłoni, który przypominał lekceważące machnięcie, pokazał uczniom, że są już wolni, a ci, mimo szacunku dla mistrza, zaczęli się zachowywać jak sztubacy. Myjąc pędzle poszturchiwali się i śmiali, któryś nawet rozochocony perspektywą szybkiego powrotu do domu pełnego świątecznych atrakcji, trącił misę z wodą i gdyby nie szybki refleks innego z młodzieńców, bez wątpienia zrzuciłby ją na ziemię i rozbił.

– Zapraszam do salonu, panie di Verrua.

– Mogę? – Gość wskazał głową obrazy. – Chciałbym rzucić okiem.

– To nie są skończone prace. Nie lubię ich pokazywać w takim stanie.

Tym samym korytarzem przeszli do gabinetu. Okna zakrywały ciemnobrązowe kotary zwisające do samej ziemi. Na ich widok, z głębokiego fotela przypominającego tron, zerwała się młodziutka dziewczynka o jasnych, lekko podkręcanych włosach.

– To moja córka Anna. – Przedstawił młodą damę, przyciągając ją ku sobie. – Jest bardzo zdolna – oznajmił nie bez dumy. [...]

– Mistrzu – di Verrua uznał, że nie można w nieskończoność przeciągać trwającej ciszy – czytał pan mój list, prawda? Rozumie pan, że to nie jest zwykłe zamówienie.

Malarz kiwnął głową. Nigdy nie był zbyt rozmowny. Ożywił się tylko w towarzystwie żony i dzieci. Tak, to nie było zwykłe zamówienie. Dwadzieścia dwa obrazy, duże formaty i tajemnica, która wiązała się z nabywcą.

– Dlaczego ja? – W Antwerpii były dziesiątki malarzy, które rzuciłyby się na to zamówienie bez słowa. Przyszło mu do głowy, że mógłby się targować, podbijać własną wartość, przeciągać termin.

Pokryta zmarszczkami twarz gościa jakby się wydłużyła. Przeżuwał słowa, międlil je w sobie, chciał wyrzucić gwałtownie, ale przyłożona do ust, zwinięta w kułak pięść nie pozwalała im wylecieć. Odchrząknął.

– Panie...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Do sali wkroczyła piękna, choć niemłoda już, kobieta z dzbanem wina.

– Catharina – malarz objął żonę w pasie, a ta żartobliwie oganiała się łokciami od jego zalotów.

Kobieta wyciągnęła dłoń do obcego. Uścisnął ją delikatnie, robiąc przy tym ukłon, może nawet zbyt wielki. Zaczerwieniła się jak podłotek. Nalała im wina do wielkich glinianych kubków i przysiadła przy stole obok męża. Widać było, że jej pozycja w tym domu była na tyle znacząca, iż nie musiała godzić się z rolą potulnej niewiasty. Nie zamierzała wychodzić. Przykryła plecy i ramiona trzykolorowym, starannie utkanym szalem.

– Jacob – westchnęła, zmuszając go tym westchnieniem do wzniesienia toastu.

– Tak, tak... Wypijmy zdrowie naszego tajemniczego gościa...

Parę lat temu widział wspaniały sporządzony przez van Dycka portret kardynała, ale nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek się z nim zetknie. Łyknęli z kubków. W winie czuć było jakby drobiny piasku, podrywanego ku niebu przez wiatr wiejący od Sahary w hiszpańską winorośl. Od lat pijał w domu ten sam gatunek, żaden inny. Ciężko mu szła zmiana upodobań. Nie czuł się zbyt dobrze. Zbliżające się święta, cały ten rozgardiasz z nimi związany, nerwowa krzątanina domowników i służby. Dręczyła go też tajemnica. Nigdy dotąd żaden kupiec nie krył się za plecami pośrednika. Po cóż miałby to robić? Czuł, że i ze zdrowiem nie jest najlepiej. Od lat miał problemy z nerkowymi kamieniami. Rodził je w potwornych męczarniach. Żaden medyk nie był w stanie ulżyć jego cierpieniu.

– Dwadzieścia dwa płótna. Amor i Psyche, prawda?

Cesare kiwnął głową.

– Z rozwiniętą kompozycją. Tylko wy, mistrzu, możecie zrealizować to zamówienie. Nikt inny. Żaden malarz w Antwerpii wam nie dorówna, to pewne.

Chciał go omotać pochwałami? Spadek po Rubensie, pomyślał. Od jakiegoś czasu krążyły słuchy, że Peter dostał zamówienie z królewską zapłatą. Pośrednik miał mu oferować czterdzieści tysięcy florenów, sumę dla zwykłego śmiertelnika niewyobrażalną. Człowiek żyjący nawet na jego poziomie mógł z tą sumą do końca życia rozkoszować się lenistwem.

Dobrze im się kiedyś razem pracowało. Ile lat od tego czasu minęło? Pięć? Chyba tak, nie więcej. Kochał patrzeć na jego drobne palce i ten ruch, zamaszysty, gwałtowny, od lewej. Tyle razy widział, jak jednym pociągnięciem pędzla starzec rozcinał płótno ustawiając tło, perspektywę, zbliżenie. Jak uzupełniał pracę jego albo Cornelisa najcieńszym piórkiem, tak by nadać jej własny, niepowtarzalny charakter.

Czerwcowy pogrzeb Rubensa był manifestacją całego miasta, ale to jemu, przyznano nie dość, że prawo maszerowania tuż obok rodziny, ale i wykończenia zaczętych przez Petera obrazów. Zawsze myślał o nim jako o starcu. Nic w tym dziwnego, dzieliło ich przecież aż szesnaście lat. Mimo przyjaźni, cała epoka.

– Dobrze, kiedy płacą ci za robotę, którą lubisz – powiedział ni to do siebie, ni do gościa.

Duchowny popatrzył na niego z niepokojem, jakby te słowa, rzucone przecież bez związku z jego wizytą, świadczyły o nieufności malarza. W gruncie rzeczy trudno by się było mu dziwić. Poprawił pas opinający sutannę.

Jordaens wpatrywał się w jego twarz. Długo, natarczywie. Zanim opuścił wzrok, di Verrua zrozumiał, że jego obawy były całkiem pozbawione sensu. Gdyby nie przysięga, którą złożył, z przyjemnością poinformowałby tego durnia, kto jest zleceniodawcą. Sam przecież przekonywał Marię Henriettę do tego wyboru. Grymaśna królowa, zanim podjęła

decyzję, godzinami wpatrywała się w kartony zamalowane przez Jordaensa dla tapiserii.

– Jeśli jest tak dobry, jak mówisz, jedź do niego, ekscelencjo, natychmiast. – Kiedy podjęła decyzję, była bardziej stanowcza niż ktokolwiek na jej dworze.

– Amor i Psyche. Nieskazitelnie piękna Psyche. Tchnienie. Omnia vincit Amor. Urodziwy bożek o twarzy cherubina. Panie, poproś zleceniodawcę o cierpliwość, a sam proś dla mnie Boga o pomoc.

Catharina wzięła dłoń Jordaensa i przytuliła do policzka. Od dziecka oswojona z farbami, terpentyną, płótnem rozumiała jego niepokój. Zwykle, zanim rozpoczął pracę, zanim wykonał pierwszy szkic, chodził rozdrażniony, nie mógł spać, czasami zdarzało mu się nawet krzyknąć na kogoś z uczniów.

– Wszystko będzie dobrze, Jacob. [...]

Jordaens podniósł kielich i stuknął nim delikatnie w naczynie gościa. Przez chwilę trzymał trunek między językiem, a podniebieniem.

– Jeśli pan Bóg pozwoli dożyć...

– Zachwyciłem się waszym malarstwem, mistrzu od pierwszego obrazu, którym zobaczył. Nikt tak, jak wy, nie pokazał kuszenia Marii ani wieśniaków.

– Lud Boży...

– To nie to, mistrzu. Jesteście skromni.

Tak naprawdę wcale nie myślał o nim w ten sposób. Ta ogromna rezydencja, wyposażenie, tkaniny. Czuło się w tym domu nie tyle dostatek, co przepych raczej. Wystawność. Wiedział, że malarz, wżenając się w protestancką rodzinę van Noortów, sam był targany wątpliwościami, więc ta wystawność nijak nie pasowała do skromności, którą wyniósł ponoć z domu.

– Żaden model, wyobraźnia, nie odda tego, panie, co dostrzeże oko. Trzeba chodzić między ludzi. Widzieć ich wysiłek, cierpienie, rozpustę. Szlachetne twarze są takim samym oszustwem, jak – chwilę szukał właściwego słowa, a nie znajdując go przygryzł dolną wargę – jak kruk na pustyni. – Ucieszył się, że wybrnął ze słownej pułapki, którą zastawił sam na siebie. Nie chciał wobec gościa uchodzić za nieuka.

Jordaens od zawsze lubił jasne kolory. Jeszcze w Het Paradijs, rodzinnym domu, w słoneczne dni biegał za światłem z pokoju do pokoju. Szukał go i zapamiętywał, nakładał farby na drewnianą paletę i rozmazywał plamę tak, aż wyzierała z niej cała gama. To matka, dla której miał tyle szacunku, zdecydowała o jego przyszłości, pielęgnowała talent, zachęcała, pocieszała w chwilach zwątpienia. To chyba dlatego tak pokochał Catharine, jedyną miłość swego życia. Lubiał jej ciało, zapach, lubiał, kiedy go całowała i kiedy strzygła mu brodę. Lubiał, kiedy siadała mu na kolanach wpatrując się w jego oczy, lubiał jej duże piersi, którymi potrafiła w nocy pobudzić wszystkie jego zmysły.

– Tylko wy, panie? Nikt inny nie będzie się z nami kontaktował?

– Nikt inny, mistrzu.

Skinął głową. Miał trzy miesiące na pierwszy obraz. Dawno nauczył się nie kaprysić. Więcej nawet, zbierał zamówienia wiedząc, że nie zdąży na czas. Albo inaczej, wiedząc, że nikt inny by nie podołał. To teść nauczył go pracy po szesnaście godzin na dobę. Bez jedzenia, bez chwili oddechu, jakiegoś zaczadzenia płótnem, tym, co się wylania spod pędzla.

Pogładził dłonią brodę. Zawsze o tym marzył, chciał być pierwszym, zyskać sławę, która przetrwa przez wieki. Gdyby nie van Dyck, po śmierci

Petera, bez wątplenia cieszyłby się sławą największą wśród największych. Wprost uznano by go za następcę Rubensa.

Nawet nie zauważył, kiedy żona stanęła tuż za nim. Oparła dłonie na jego barkach. Tyle razy próbował ją sportretować. Choćby z rozpustną Amalteą.

– Podpiszcie – di Verrua podsunął mu pergamin, który chwilę wcześniej rozwinął. [...]

Catharina podała mu pióro. Złożył zamaszysty podpis. Dzieło życia, które zniknie w jakimś pałacu i którego nie ujrzy nikt, prócz bogacza, którego stać na ten zbytek. Gdzieś je schowa, oswoi ze ścianami, a jeśli będzie chciał, komuś daruje lub wyrzuci na śmietnik.

– Zjecie, panie, z nami kolację? – Catharina była świetną nie tylko matką, kochanką, doradcą, ale i gospodynią. [...]

Przenieśli się do ogromnej jadalni. Ze ścian spoglądały na nich rubaszne twarze wieśniaków i półnagich niewiast z niemowlętami u piersi. Obrazy były w ciężkich, prostych, dębowych ramach. Nawet w tym ogromnym pomieszczeniu przytłaczały swoją wielkością. Przy całej swej wiedzy di Verrua z trudem odgadywał tajemnice warsztatu mistrza.

Dwie służące w kilka minut zapełniły stół jadłem. Zdziwił się, widząc, że gospodarz zasiada doń bez zmiany przyodziewku. Opłukał jedynie dłonie w misie podsuniętej mu przez żonę.

Rękoma odłamywali z półmisków przyrumienione skrzydła drobiu, pełne niewielkich chrząstek i kości, które odkładali na bok, zapewne dla domowych psów, które widział przy wejściu. Włoch nie lubił tak tłustego jadła, ale gospodarzom wyraźnie ono smakowało. Nie zwracali na niego uwagi. Głośno mlaskali, zdarzało im się też beknać i odchrząknąć, gdy zamiast upaść na stół, kostka stanęła im w gardle. Zamiast serwetami

obcierali usta rękoma, które zaraz potem moczyli w wodzie. O czym miał z nimi rozmawiać? Gdyby nie obrazy musiałby ich uznać za ludzi prostych, przeraźliwie prostych. Tak, jak kardynał-infant Ferdynand, który mówił o Flamandach, że żyją jak bydłęta. Z drugiej strony ilu było takich, którzy mogli dorównać mu wykształceniem?

Służąca dołała im wina. Jordaens uświadomił sobie, że Magdalena, Hiszpanka z Sewilli, służyła już u nich ponad dwadzieścia lat. Miała zwinne ręce zwieńczone długimi palcami. Czasami wołał ją do pracowni i kazał układać je na ciele w różny sposób. Początkowo nieufna, z czasem przywykła służyć za model i jakby nawet polubiła to zajęcie. Ze śmiechem próbowała zajrzeć mu w obraz, ale odganiał ją, jak natrętną kotkę. Druga ze służących, prawie dwadzieścia lat młodsza od Magdaleny, Lysbeth, miała w sobie znacznie więcej życia, ale i mniej umiała. Zdarzało jej się, co tak bardzo irytowało Catharinę, postawić naczynia nie na swoim miejscu albo wdać się w długą, przypominającą flirt, pogawędkę z Jonasem, stajennym chłopakiem z twarzą podziurawioną ospą.

– Opowiecie coś o Italii? – Catharina przypomniała sobie o gościu.

– Cóż opowiadać? Papiery, manuskrypty... Siena, biblioteka Piccolomini, święty Augustyn, Abelard, Tomasz z Akwinu. Więcej we mnie poszukiwacza przeszłości, wszystkich sprzeczności życia niż zainteresowań doczesnych.

– A papież? – Catharina miała swój pogląd na katolików i głowę ich kościoła. Pogląd niezupełnie zbieżny z odczuciami męża, a już z pewnością odmienny od przekonań gościa.

– Widziałem Ojca Świętego pół roku temu. Papież Urban, to wielki człowiek. Miłośnik sztuki. Słuchałem jego wierszy...

Nie był już głodny. Wizyta w nowej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo była dla di Verrua czymś więcej niż tylko spotkaniem z przełożonym. Stary papież nie czuł się dobrze. Doskwierały mu duszności, a ponadto, zdradził mu to papieski medyk, w jego kale, co i raz znajdowano krew. Rzadko kiedy papież pytał o cokolwiek swoich kardynałów... Ale tym razem targały nim wątpliwości, co do watykańskiego majątku.

– Gdybym jeszcze raz mógł nim rozporządzać, żaden z moich braci, żaden z ich synów, nawet by się do niego nie zbliżył.

Papież zaklinał się, że kierowały nim zbożne pobudki.

– Ktoś mówił – Jordaens wymawiał każde słowo dokładnie, jakby chciał uświadomić swojemu gościowi ich wagę – że Barberini zagarną całą władzę, z nikim się nią nie podzielą, że gotują się do wojny o Castro...

Więc nawet tu dotarła zła sława papieskich braci? Ach, jakże żałował tego podziału w kościele, jakże się modlił o cud czystości, o skromność i o pojednanie.

– Castro jest przynależne Ojcu Świętemu. Odoarno Farnese od dawna nie płaci długów. – Nie chciał powiedzieć nic złego na papieża Urbana. – Wszystkie te plotki roznoszą złe języki. – Papież nie dopuści do rozłamu. Świat, Francja, Hiszpania, Habsburgowie, Szwecja, trzeba mieć do tego wielką głowę. Co więcej, prawo jest po jego stronie.

Sam nienawidził Richelieu i nie widział niczego dobrego w jego działalności. Tak, Maria Henrietta, Londyn, dobrze wiedzieli, z kim mają do czynienia. Z drugiej strony o ileż lepszy był krótki pontyfikat papieża Grzegorza...

– Ojciec. – W drzwiach stał wysoki chłopiec może piętnastoletni, może szesnastoletni.

– Chodź, chodź. Panie, przedstawiam ci mego syna.

Młody Jacob uklonił się i stanął nieśmiało za matką. Był wysoki, wyższy od ojca prawie o głowę. Lekki zarost poczercił mu już policzki. Czekał, aż ktoś z dorosłych pozwoli mu usiąść do stołu. Matka gestem dłoni wskazała mu miejsce. Jadł szybko, jakby brakowało mu na to zajęcie czasu.

– Jacob jest twoim uczniem, mistrzu?

Jordaens skinął głową. [...]

Nie słuchał księdza. Korespondowali ze sobą kilka miesięcy. Miał pewność, że di Verrua występuje w imieniu którejś z koronowanych głów. Trochę go irytowała ta tajemniczość. Gdyby nie Catharina, być może dalej odwlekałby tę wizytę? Ufał ludziom ponad miarę. Gdyby nie jej ostrożność, zapobiegliwość...

– Krążąc między zakonami, studiując zapisy w księgach metrykalnych, potykając się o zagadki...

Widział te figlarne ogniki w oczach żony. Nigdy nie czuł, że inny mężczyzna mógłby ją zaciekać. Zwłaszcza ksiądz. A jednak, w dziwnym, sekundowym przebłysku, zdał sobie sprawę, że rodzi się w nim niechęć. Popatrzył na sygnet zdobiący mały palec lewej ręki Włocha. Delikatny. Taki, jaki nosi się nie dla ozdoby, ale by podkreślić własną pozycję. Śnieżnobiałe mankiety i kołnierzyk wywinięte na zewnątrz sutanny uwypuklały jego śniade oblicze. [...]

Di Verrua wytarł usta i ręce w serwetę. Delikatnie odchrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę i podniósł się od stołu. Postanowił nie przedłużać wizyty. Zwłaszcza że czekający na niego w katedrze van Maarwijk musiał się już niepokoić. Podziękował gospodarzom za gościnę.

Jordaens odprowadził go aż do powozu. Ksiądz uczynił nad gospodarzem znak krzyża. Nie wiedział, czy błogosławi jemu, czy tylko modli się o wypełnienie kontraktu. Wszystko jedno. Był zmęczony, czuł, że powinien

już odpocząć. Będzie musiał rano wstać. Chciał od świtu, przy dobrym świetle zasiąść do kartonów. Tkacze już od miesiąca czekali na jego malunki. [...]

Zapadł w krótką drzemkę. Przyśnił mu się łuk triumfalny przy Huidevettersstraat. Termin to było szaleństwo. Pracowali w śniegu, przy temperaturze bliskiej zeru, przy rozpalonym ogniu. Zobaczył nagle przerażoną twarz Cornelisa de Vos, który poślizgnął się, przeleciał przez balustradę rusztowania i zawisł bezwładnie kilka metrów nad ziemią. Zdążyli na czas, wszyscy podziwiali kunsztowne malowidła, nawet Rubens był zadowolony, ale on sam odchorował tę pracę zapaleniem płuc.

Nie otwierając oczu poczuł układającą się obok niego Catharinę. Wystarczyło żeby go dotknęła, a już czuł podniecenie. Z reguły powstrzymywała jego czułości, ale dziś sama pospieszyła z odszukaniem jego nabrzmiałego członka. Posapywała jak szczeniaczek walczący z innymi psiakami o sutki matki. Jęknęła, a on w obawie, że ją uraził, przesunął się na bok, ale przyciągnęła go, wsunęła jego ręce pod własne pośladki i zaczęła unosić się razem z nim do góry i na dół, do góry, na dół. Później szepnęła, żeby jeszcze poczekał, ścisnęła palcami jego przyrodzenie i zaczęła całować namiętnie.

A kiedy było już po wszystkim zobaczyła nie Jacoba, ale ich dzisiejszego gościa, otulonego w czarną sutannę Cesare di Verrua, watykańskiego dyplomatę, jak pochyla się nad nią i delikatnie całuje jej rozgrzane podbrzusze. Bezwiednie skierowała tam lewą rękę i zaczęła przesuwając do dołu i do góry, ale tak nieznacznie, że Jordaens, przytulony, a raczej wtulony w nią, niczego nie dostrzegł, nie poczuł. Kiedy ochłonęła, zaczęła sobie wyrzucać grzeszne myśli. Modliła się dłuższą chwilę.

– Jacob – szepnęła, ale jej mężczyzna, utrudzony całym dniem, zamiast jej odpowiedzieć, jęknął tylko, jakby odganiał dręczące go koszmary.

Była szczęśliwa u jego boku, niczego jej nie brakowało. Od kiedy władze ustanowiły go starszym cechu świętego Łukasza, nikt nie odważył się kwestionować jego dokonań. Tak naprawdę zresztą nikt ich nie kwestionował od czasu wyzwolenia na mistrza. Już jako waterschilder imponował warsztatem. Ukochaną temperą mógł zrobić każdy projekt, każdą nawet najmniejszą dekorację. Trójka ich dzieci była pełna radości, talentów, byli bogaci, stać ich było na wiele fanaberii niedostępnych innym. Imponowała innym damom bogactwem strojów, biżuterią, domem pełnym przepysznych niespodzianek. Zamówienie, które przywiózł Włoch jeszcze bardziej nobilitowało Jacoba. A jednak czegoś jej brakowało. Często myślała, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby zamiast Jordaensa wybrała innego z uczniów ojca. Na przykład Hugona van Elsta. Też przecież się w niej kochał. Kiedyś ukradkiem dała mu się pocałować i mało brakowało, a w zaciszu stajni dopuściłaby się grzechu śmiertelnego.

Z niepokojem wsłuchiwała się w oddech męża. Doskonale wiedziała, kiedy nie czuł się dobrze. Z trudem łapał powietrze. Przełykając ślinę krztusił się i charczał. Delikatnie położyła mu rękę na czole. Był rozpalony. Wstała i poszła do kuchni.

Nawet nie zauważyła, kiedy Lysbeth stanęła tuż za nią. Kazała jej przygotować kompresy. Dziewczyna spojrzała na nią swoimi wielkimi oczyma.

– Co się stało? – zapytała, zanim sięgnęła po złożone w spiżarni lniane ściereczki.

Wzięła od niej misę z wodą i kazała wracać do sypialni dla służby. Nigdy nie pozwalała nikomu opiekować się chorymi z własnej rodziny. W tym

zakresie ufała tylko sobie. Była przekonana, że mieszkający z nimi ojciec dożył późnej starości tylko dzięki niej. Miała pięćdziesiąt jeden lat. Ponad pół wieku, pomyślała. Pan Bóg dał jej długie, szczęśliwe życie.

Zamoczyła szmatki w wodzie, a potem starannie je wyżyła. Zanim położyła je na czole Jacoba, chwilę patrzyła na jego rozpaloną twarz. Przyszło jej do głowy, że to kara za jej grzeszne myśli, ale szybko odrzuciła to skojarzenie. Kiedy musiała działać, chronić swoją rodzinę, nie było dla niej nic ważniejszego. Gdyby musiała o nią walczyć z Bogiem, nawet z nim, nie wahałaby się ani chwili. Przypomniała jej się choroba Elisabeth, ich najstarszej córki, która o mały włos, a zakończyłaby się nieszczęściem.

Jordaens otworzył oczy i popatrzył na nią nieprzytomnie. Długo wpatrywał się w jej twarz, jakby nie poznając.

– Jesteś chory, Jacob.

Chciał coś powiedzieć, ale zaczął gwałtownie kaszleć. Z kącików ust pociekła mu ślina. Nie miał najlepszego zdrowia, często bywał przeziębiony, rzadko kiedy jednak poddawał się chorobie i na dłużej niż dzień, dwa pozostawał w łóżku.

– Śniło mi się, że latam – powiedział, kiedy oprzytomniał. – Miałem skrzydła, machałem nimi i leciałem. Jak Leonardo...

Kazała mu milczeć i choć przez chwilę się buntował, coś tam jeszcze buczał, znów zapadł w sen. Czuwała przy nim przez kilka godzin. Przykładała mu do czoła, policzków i szyi zimne kompresy aż poczuła, że gorączka spada, a jego oddech się wyrównuje i uspokaja.

Położyła się wreszcie i w tej samej sekundzie zasnęła, a kiedy trzy godziny później otworzyła oczy, odruchowo poszukała jego ręki, a nie znalazłszy jej, usiadła gwałtownie i rozejrzała się dookoła. Ten szaleniec, jak każdego ranka, mimo choroby i świąt, musiał się poderwać do pracy.

Światło było dla niego ważniejsze od zdrowia. Zarzuciła na siebie nocną pelerynę i z gołymi nogami obutymi w drewniane chodaki poszła do pracowni. Jacob nie usłyszał, kiedy weszła. Siedział zamyślony przed sztalugą. Zagruntowane płótno czekało na pierwszy jego ruch. Wiedziała, że nie powinna mu przeszkadzać i choć drżała o niego, wyszła, bezszelestnie zamykając drzwi. Nikt mu nie będzie dziś przeszkadzał aż do wieczora. [...]

Zawsze rozpoczynał od szczegółu, z niego wychodził, wokół niego budował. Więc jakieś zwierzę, pies albo koza, jakieś drzewo albo róg. Dzięki van Noortowi nigdy nie miał kłopotów z równomiernym rozmieszczeniem postaci ani z perspektywą. Więc zaczął i w tej samej chwili nie musiał już myśleć, jakby ręce przejęły przewodnictwo w tej dobrze naoliwionej maszynie.

Nagle stanęła mu przed oczyma młodsza siostrzyczka Magdalena. Bege, kolor nie farbowanej sukni, brak koloru. Długo mu tłumaczyła związek między pobożnością, a ascezą, ubóstwem. Trudno znosił jej argumentację o zaprzedeniu się bożkowi pieniądza. Razem z drugą siostrą niosły pomoc potrzebującym. Nie chciały się pogodzić z tradycyjną rolą kobiety. Często im dokuczał przywołując bullę Klemensa. Unosił wtedy palec do góry i jak groźny prałat, ze śmiechem wykrzykiwał groźby i przepowiednie ognia piekielnego dla heretyków.

Wierzył w Boga Stwórcę, a jednak nie potrafił się do niego zbliżyć tak, jak pozostała czwórka rodzeństwa. Catharina została tercjarką, a Abraham augustianem. Też żebrak. Skąd ta cnota, udręczenie, umartwienie. Może gdyby nie córka van Noorta sam poszedłby tym tropem? Albo gdyby nie talent. W tej samej sekundzie skarcił sam siebie za pychę.

Rzadko widywał rodzeństwo. Wszyscy podziwiali jego sprawne dłonie, ale nie widzieli w tym oddania Bogu. Tyle kościołów wymalował, tyle

kaplic, tylu świętych... Mógł przecież malować portrety. Takie jak Velazquez, malarz hiszpański. Kiedy ujrzał je parę lat temu, nie mógł wyjść z podziwu dla precyzji ręki, szczegółu. Jakby kaprysu. Chętnie zobaczyłby go przy pracy. Te koronki, zbroje, grymasy na twarzy. Kiedy tego potrzebował, kazał któremuś z uczniów przywdziwać suknie Catharine. Tak długo się w nie wpatrywał aż dostrzegł najdrobniejszą fakturę materiału, każdą niemal szczelinę przez którą przepływało powietrze, lśnienie, głębię barw.

Na chwilę zatrzymał pędzel i pokiwał głową. Czasami zdarzało mu się w myślach przywoływać innych malarzy. Nie miał wobec nich kompleksów, nie zazdrościł talentu. Może jedynie wobec Petera...

Znów malował. Biele, dawno zrozumiał, że kolory tak naprawdę można rozróżniać na setki sposobów. Czasami niedomyty pędzel dawał lepsze efekty niż starannie mieszane farby. Był przywiązany do sposobów, sztuczek, iluzji, sekretnej wiedzy, receptur, których nauczył się w młodości. Z irytacją patrzył na dzieciarnię przyprowadzaną do pracowni po naukę. Wszyscy mieli talent, ale on ich talent miał za nic. Wiedział, że nie poparty pracą wypali się jak szczapa w piecu i nikt się w nim nie ogrzeje. Wierzył w pracę, w nią jedną. Zdarzało mu się usunąć ucznia z pracowni i nigdy się nie pomylił. Nawet jeśli szli do innych po naukę, prędzej czy później kończyli tak, jak skończyć musieli. Wśród tysięcy malarzy w Niderlandach, to jego szukano, jemu powierzano tych, którzy, jak on, odnajdywali coś więcej niż tylko sławę.

Catharina zajrzała do pracowni. Uderzył ją ostry zapach zwierzęcego kleju, jakim pokrywano płótno. Minęło południe, a Jacob nic dotąd nie zjadł. Gotowa była prosić o złamanie ścisłego postu. Martwiła się o niego. Bała się ciągłych migren czyniących zeń bezradne dziecko. Próbowwała walczyć z

jego nałogami, z pracą, w której zapominał o wszystkim. Zanim go objęła poczuł jej zapach. Świąteczne przygotowania powodowały, że przesiąkła kaparami, oliwkami, zapachami imbiru, pieprzu, gałki muszkatołowej, goździków i innych przypraw. Pocałował ją w rękę. Wiedziała, że nigdy nie objął innej kobiety, że grzeszną myślą nie wypełnił głowy. Zajmowała całą jego życiową przestrzeń.

– Odpocznij – poprosiła szeptem, jakby zdradzała mu ściśle zastrzeżoną tylko dla nich tajemnicę, jakby ktoś mógł ich tutaj podsłuchać, zabrać uczucie, które ich wypełniało. [...]

Lubiła go słuchać. Miał ciepły głos, którym raczej uspokajał, uciszał niż wywoływał emocje. Nawet kiedy zagłębiał się w swój warsztat, kiedy tłumaczył zawiłości laserunków, strugania deski, półtony w kolorach, wydawało się to ciekawe, frapujące. Posiadał dziwny dar zjednywania sobie słuchaczy. Nigdy nie nudziła się w jego towarzystwie. Może wynikało to z tego, że starała się nie narzucać, nie absorbować sobą. Wiedziała, kiedy może go zająć swoimi sprawami, domem, dziećmi, a kiedy powinna się raczej wycofać, nie przeszkadzać.

– W nocy wspominałeś, że śniłeś o lataniu, pamiętasz?

– Mówią, że ziemia jest okrągła, ale z góry tego nie widać. Czulem falowanie powietrza, wiatr sam mnie niósł. To było przyjemne, nawet bardzo przyjemne uczucie. Galileusz...

Nie skończył, objął ją w pasie i przytulił. Nie chciał zaśmiecać jej głowy tym, czego nie mogła zrozumieć.

– Kto to jest Galileusz? – Obiło się jej to nazwisko o uszy, słyszała jakieś spory, ale nie było w niej chęci poznania szczegółów, raczej pytaniem chciała sprawić mu przyjemność.

– Nikt, nikt.

Czasami miała wrażenie, że jego myśli krążą gdzieś daleko, że coś do niej mówi, a chwilę potem nie pamięta już o tym. Jak każdy artysta był trochę w sobie zapatrzony. Nie raziło jej to, raczej odwrotnie, od wielu lat utwierdzała go, że jest tym najlepszym, że nawet Rubens niewiele może mu przeciwstawić. Gładził ją wtedy po policzkach, uśmiechał się i zamykał jej usta.

– Nie, nie, Catharino. Trzeba go było zobaczyć przy pracy.

Co z tego? Wszyscy najwięksi, od śmierci Petera, widzieli w nim kontynuatora. A on, przecież czuła to, miała pewność, wyrastał ponad mistrza i przyjaciela.

– Jacob, dziś Wigilia. Niedługo trzeba będzie siadać do stołu. Ojciec jest już gotów. Wypytywał o ciebie. Mówi, że to grzech pracować dzisiaj.

Co miał powiedzieć? Grzech? Stary van Noort mieszkał z nimi już od kilku lat. Po śmierci żony zamknął się w sobie i długo musieli go przekonywać do przeprowadzki. Malował w pokoju, w którym spędzał całe dnie, ale, widzieli to wyraźnie, nie sprawiało mu to takiej przyjemności, jak kiedyś. Tracił pamięć, zdarzało mu się zapomnieć imion któregoś z domowników albo służby. Starał się nie czynić swoją osobą kłopotu, nie zrażać swoimi problemami, schodzić wszystkim z drogi. Namawiali go, żeby wziął sobie ucznia, kogoś do pomocy, żeby pokazał mu swój warsztat, ale machał tylko ręką. Nie miał już do tego głowy.

Zaraz święta. Może faktycznie nie trzeba było przyjmować di Verrua? W dzień przed Wigilią nie powinno się rozmawiać o pieniądzach. Z drugiej strony, jak miał odmówić?

Wzięła od niego pędzle i zaczęła wycierać. Zanim spostrzegła, całe ręce miała pobrudzone.

– Zostaw – poprosił.

Poszli do łaźni. Catharina, jak rzadko kto, dbała nie tylko o porządek w domu, ale i o czystość ich ciał. Była nawet z tego powodu wyśmiewana przez sąsiadów. [...]

Zanim przeszli do jadalni, Lysbeth wprowadziła jakiegoś żebraka, który przesiadywał od południa w kuchni. Cuchnął i utykał na lewą nogę. Każdego roku siadał z nimi do stołu nieznajomy. Sprowadzał ich Jonas, wyszukawszy uprzednio gdzieś w porcie albo na targu. Mężczyzna równie dobrze mógł być w wieku gospodarza, jak i być starszym od niego o lat dwadzieścia. Długa zmierzwiona broda zwisała mu aż do pasa. Kubrak, którym był okryty, jak strupy zablizniały cery i łaty.

Mężczyzna mówił niewyraźnie. Przywędrował do Antwerpii z Aalst, gdzie służył w kolegiacie St. Martin. Jordaens nie dopytywał o szczegóły. Miał wrażenie, że do miasta schodzą się nieprzebrane tłumy takich nieszczęśników. Odesłali go do łaźni. Wciąż można było wykorzystać wodę po jego i Catharine kąpieli.

Bus, gość przyprowadzony przez stajennego, tak jak wszyscy van Noortowie, był protestantem. Sztywny podział rodziny stwarzał czasami problemy. Tylko dzieci i Jacob chodzili do spowiedzi. Czasami nad tym ubolewał, czasami miał wrażenie, że bliżej mu do żony i tej części społeczeństwa, której wiara pleniła się niczym chwast na polu w wyzwolonych Niderlandach.

Modlili się w ciszy, w powadze. Stary mistrz odczytał po łacinie fragment księgi Genesis: „Nasadził też był Pan Bóg sad w Eden, na wschód słońca i postawił tam człowieka, którego był stworzył”. Zanim usiedli, Jordaens szepnął do samego siebie: *ave Maria gratia plena*. [...]

Przełamywali się chlebem cienko skrojonym, jak przystało przez gospodarza. Nie czuł głodu, kierowało nim raczej przyzwyczajenie do

jedzenia. I nawet wtedy sprawiało mu radość zapamiętywanie. Uchylone usta, ukruszony ząb, szerniałe podniebienie. Każdy szczegół, który mógł później przenieść na płótno, na deskę albo na papier.

Lysbeth odziana w nową suknię, z rękoma bez śladu sadzy czy kurzu zaśmiała się z jakiejś opowieści młodego Jacoba. Często go przytulała. Miał wrażenie, że syn ma większe zaufanie do niej niż do rodziców.

Anna Catharina zaśpiewała kolędę. Miała głos jego matki. Wysoki sopran zupełnie nie pasował do jej skromnej postury. Najpierw zamilkli, a potem przyłączyli się do śpiewu. Z powagą może nawet zbyt wielką. Z drugiej strony męka Pańska, to o niej myślał w czasie tego święta, nigdy nie skłaniała go do radości.

Bus jadł łapczywie. Kobiety nakładały mu do talerza, a on, jakby nie czując smaku potraw, objadał się, odkładał na zapas, dodawał sił. Budził ciekawość, ale dobre wychowanie skłaniało biesiadników do powstrzymania się od pytań. Kiedy wreszcie zaspokoił głód, spojrzął ciekawie na ścianę, przeżegnał się i wskazał na jeden z obrazów. Biskup Paryża trzymał na nim w rękach własną głowę.

– Panie – zwrócił się do gospodarza – bardzoście odeszli od świętego Pawła.

Przez chwilę zastanawiał się, czy jest możliwym, aby ten obdartus, biedak i przybłęda był w stanie odróżnić miejsce kultu z całą jego prostotą, bez ozdób, obrazów, figur z czasów apostoła od współczesnego domostwa, ze wszystkimi zmianami, które na przestrzeni wieków oddzieliły kościół z całym jego sztafażem od wiernych z ich potrzebą czczenia, oddawania hołdu, z pokorą, w której przyjmowali to, co nieuchronne.

– Bałwochwalstwo.

W jednej chwili zrozumiał, że Bus nie jest tym, za kogo go brali.

– Pan Bóg nie wymaga od nas pochwał. Bliższe są mu oddanie, współczucie, gołe ściany, w których nasze myśli nie będą od niego uciekać.

Co miał mu przeciwstawić? Potrzebę radości? Ukwiecenia życia? Bus musiał być jednym z wędrownych kaznodziejów szukających porozumienia z Bogiem poprzez umartwienie, ascezę, powściągliwość, której folgowali wyłącznie podczas świąt. Od blisko wieku Antwerpia pełna była takich jak on. Niektórzy po oddzieleniu Niderlandów od Korony szukali zrozumienia w nowym kościele, inni, nawiązując do potrzeby krzewienia wiary, nawracania, odganiani przez księży, przekonywali chodząc po domach, zwracając uwagę, cytując Pismo Święte.

Catharina kiwała głową, choć wiedział przecież, że nigdy, za nic w świecie, nie odrzuciłaby ani jego, ani ojca obrazów.

– Bałwochwalstwo, mówicie?

Wiedział, że nie zawsze to, co Catharina mówi, zgodne jest z tym, co myśli. Często zadając pytania, pokpiwała sobie, nie dając jednak odczuć rozmówcy, że jest od niego mądrzejsza, dojrzała, bardziej gospodarna i zapobiegliwa.

Nie słuchał więcej przybłędy. Stanął nad młodszą z córek i pogładził ją po włosach. Przypominała mu urodą i gestykulacją matkę. Jak ona, będzie miała szerokie ramiona, talię, która bez problemów pozwoli jej urodzić gromadkę dzieci i twarz, którą oczaruje wielu mężczyzn. Cieszył się na to jej przyszłe szczęście. Popatrzyła na niego uważnie.

– Będziemy malować? – szepnęła, jakby byli współnikami w jakimś niecnym przedsięwzięciu.

Kiwnął głową. Rodziła się w niej kobieta, widział lekkie wybrzuszenie na piersiach, tuż obok kokardy zdobiącej nową suknię z niewielkim dekoltem, szytą specjalnie na święta. Paradowała w niej niczym dama, dygała,

przechylała się to na jedną, to na drugą stronę, zalotnie zagadywała starszych, niby niechący ocierała się o nich i pytała o rzeczy zupełnie nieważne. Chciała być dostrzegana.

Nalał wina teściowi i stuknął się z nim kielichem.

– Za twoje zamówienie, Jacob – sapnął van Noort..

Podziękował za toast i wypił więcej, niż zwykł to czynić w innych okolicznościach. Było gorąco, trudno było nawet zbliżyć się do rozgrzanych kafli pieca. Rozpiął ciasno opinającą go kamizelkę.

Przypomniął sobie, jak van Noort brał go kiedyś pod ramię, odciągał od obrazu, kazał oglądać z różnych stron, od lewej i od prawej, odbity w lustrze, tym jakże rzadkim wówczas weneckim wynalazku, czasami nawet kładł się z nim razem na ziemi. Prowadzał do bogatych bankierów i pokazywał dokonania innych: Mabuse’a, van Orleya, van Eycka, van der Goesa. Kazał mu czytać księgi Giorgio Vasariego, Francisco da Hollanda, Bartolommeo Fazio.

– Niczego nie osiągniesz bez znajomości perspektywy geometrycznej – przekonywał do nauki.

Przypominał sobie te lekcje z czułością. Osie obrazu, linie perspektywiczne, optyczne, ich zbieg, wciąganie widza w iluzję, w to, czego naprawdę można się było tylko domyślać. Teść dał mu więcej niż innym uczniom. Dużo mu zawdzięczał, bardzo dużo.

– Mówią, że po Rubensie nikt inny nie może ci dorównać.

– Jest wielu malarzy.

Wcale nie był skromny. Rozumiał, że każdy malarz ma swój czas. Cóż, zarabiał pieniądze. Popatrzył na ręce starego mistrza. Widział, jak z trudem je zgina. Nie zostało mu już dużo życia. Odchodził powoli, jak roślina, która

usycha. Czasami tylko dostrzegł jeszcze w jego wzroku dawny błysk, chwilowe zainteresowanie. [...]

Ponury Bus rozchmurzył się na moment, zaczął nawet coś mamrotać pod nosem. Jonas poszturchiwał go łokciem i czynił żarty z mieszkańców Aalst, którzy w Antwerpii nie uchodzili za zbyt rozgarniętych.

– Z cudu zrodzony w Nazaret Iesoús... – Przybysz dziwnie wymawiał imię Pana. Dało się też zauważyć, że nie był przyzwyczajony do zbyt wielkich uciech świątecznych.

Stajenny nie dał mu skończyć, nalał wina do kielicha i prawie zmusił do wypicia duszkiem całej zawartości.

Jordaens poczuł, że i jemu, podobnie jak innym, zaczęło już szumieć w głowie. Usiadł obok żony i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż wzbudził jej zainteresowanie. Oparła się o jego ramię. Zaczynała siwieć. Gdzieś srebro się jaśniejszy włos. Starannie maskowała objawy zbliżającej się starości czerwonymi kokardami wpiętymi w zaplecione kosmyki.

Trzeba się było zbierać do kościoła. Ponaglił córki i syna. Ktoś ze służby podał im wierzchnie okrycia. Głęboko na głowę naciągnął kapelusz. Bał się zimna. Ciągle marzył, że jeszcze zdąży wybrać się do gorącej Italii, nasycić się jej słońcem i rozpaloną ziemią. Zamiast tego poczuł przeszywający go chłód. Przytrzymał się starszej z córek. Zbyt blisko mieli do kościoła, aby zaprzęgać konie. Ciasno zbitą gromadą szybko zaczęli się oddalać od domu. [...]

Ludzie kiwali mu głowami. Czuł, że plotkują na jego temat. Budził zazdrość. Bogactwo dodaje powagi, zakpił z samego siebie.

Ukląkł i modlił się żarliwie. Nie miał jakichś specjalnych prośb. Dawno zresztą uznał nieuchronność przeznaczenia, pogodził się z tym, co

nieuniknione. Lubił atmosferę nocnego czuwania, czarowania obrzędem, liturgią, lubił zapach świec, dźwięk dzwonków, szum zbiorowego śpiewu, strach budowany łaciną i gromy rzucone na grzeszników. Czuł swój związek z kościołem, widział w nim swoje miejsce, choć nie ukrywał też swoich wątpliwości. Często wiódł spory na ten temat z młodszym bratem. I choć uznawał jego argumenty, każdy pozostawał przy swojej opinii.

Anna Catharina ścisnęła go za rękę i wskazała oczyma mężczyznę klęczącego nieopodal. Mimo półmroku i cieni rzucanych przez świece, rozpoznał w nim swego wczorajszego gościa. Zdziwił się. Di Verrua był ubrany jak zwykły, ubogi ksiądz. Po co ta maskarada? Chciał nawet podejść i zapytać, ale uznał, że Pasterka, że to nie jest okazja do tego typu pytań. Nigdy zresztą nie był zbyt ciekawski. Umiał uszanować tajemnice innych. Zresztą kardynał wydawał się być tak głęboko zatopiony w modlitwie, że byłoby z jego strony nieprzyzwoitym ranić go pytaniami. [...]

Pod koniec mszy czuł, jak ogrania go senność. Nawet beknięcie, które wymknęło się z czyjś gardła i tak rozśmieszyło młodych, na nim nie wywarło żadnego wrażenia. Czuł kwaśny odór wina, pot wielu ciał, suchość w krtani i ogólne znużenie.

– Amen. Idźcie w pokoju. Ofiara spełniona. – Czekał na to zdanie, a kiedy je usłyszał ledwie się podniósł z klęczek. Dokuczał mu reumatyzm.

Pokłonił się przed świętym obrazem.

– Mistrzu. – Di Verrua stał tuż za nim. Odczekał dłuższą chwilę, zanim powiedział coś jeszcze. – Szukajcie w swych obrazach radości. Zbyttnia powaga burzy harmonię. Bez wesela świat jest tyle uboższy.

Nie takich słów spodziewałby się po osobie duchownej. Co więcej, nie bardzo rozumiał, czego ten tajemniczy mężczyzna od niego oczekuje.

– Wiecie dlaczego przypadło wam to zlecenie?

Nie miał zamiaru odpowiadać na zadane pytanie. Wpatrywał się w czarne oczy di Verrua, które w tym świetle, przypominały oczy jakiegoś dawno wymarłego gatunku stworów ziejących ogniem.

– Jest w was coś, co was odróżnia od innych malarzy. – Znów chwilę pomilczał. – Szukacie ciepła. To rzadki dar, nie zgubcie go. [...]

Ostry wiatr przywrócił Jordaensowi jasność spojrzenia. Tłum, który jeszcze przed chwilą wypełniał okolicę, gdzieś się rozplątał. Ruszyli do domu popędzani dużymi płatami śniegu sypiącymi gwałtownie po oczach. Młody Jacob przystanął na chwilę i mocował się z długim sopłem zwisającym z dachu. W świetle pochodni był to widok groteskowy. Wydłużone ramię chłopca tworzyło jeden ciąg z lodową bryłą. Gdyby umiał przenieść to na płótno, gdyby Pan Bóg ofiarował mu więcej...

Catharina wygrzała mu posłanie flaszą pełną wrzątku. Ledwie mógł dotknąć butelki stopami. Żona położyła się obok niego, a on przylgnął do jej pleców, objął ramieniem i poszukał piersi. Chciał jej opowiedzieć o oczach ich gościa, ale szepnął coś tylko, może jakieś wyznanie miłosne, sam nie zrozumiał swych słów i zapadł w sen.

Słyszała jego równy oddech, poczekała, aż zaśnie głęboko, i wstała jeszcze. Miała kłopoty z żołądkiem. Od kilku dni jedzenie przelatywało przez nią, jak przez jakąś maszynę. Obmyła się w wiaderku i pomacała po biodrach. Zajrzała do pokoju młodszej z córek. Dziewczynka spała wtulona twarzą w poduszkę. Przez chwilę zatęskniła do spokojnego dzieciństwa. Byleby wojna, wciąż i wciąż, na nowo wybuchająca w sąsiednich Niderlandach, do nich nie przyszła. Co tam bogactwo, zaszczyty. Wsłuchiwała się w oddech córki, a potem wyszła, wciąż myśląc, że całe swe szczęście zbudowała wokół rodziny.

Catharina długo nie mogła zasnąć. Dziwne myśli krążyły jej po głowie. Dojrzała żebraka, którego przyjęli przy wigilijnym stole. O dziwo, przybrany w porządne szaty, wyglądał całkiem inaczej. Namawiał ją na podróż, opowiadał o Afryce, do czegoś przymuszał, śmiał się, pokazywał rozgwieżdżone niebo. A zaraz potem przyszedł do niej młody Jacob, taki, jakiego pamiętała sprzed lat, chłopięcy, z ledwie sypiącym się na twarzy zarostem, nieśmiały, ukradkiem wypatrujący kawałka jej ciała, ale już zakochany, pełen nadziei, bo przecież nie odepchnięty, nie odrzucony. To dla niego zmuszała matkę do kupowania coraz to nowych strojów, układania włosów, przypinania kolorowych szarf. To do niego odwracała się, aby pokazać nowe kolczyki i dla niego, niby przypadkiem, odsłaniała dekolt bardziej niż wypadało.

Catharina ocknęła się z tego półsnu i nie mogła skojarzyć miejsca, w którym się znalazła. Czasami opanowywał ją jakiś lęk, irracjonalny, bez powodu, obawa, że wszystko jest snem. Szukała oparcia i znajdowała je zwykle tuż obok. Odwróciła się na bok i pogłaskała go po twarzy.

Nie potrafił malować, jak Ter Brugghen, bez szkiców. Wszystko musiał mieć dopracowane, całą kompozycję. Szczegół był ważny, może najważniejszy, ale nie od niego rozpoczynał obraz.

Rysował na brązowym papierze węglem drzewnym zmieszany z olejem. Ani chwili wahania, zawieszenia ręki. Wszystko poukładane w głowie. Każdym nerwem czuł konieczność pociągnięcia linii właśnie tu a nie gdzie indziej. Czasami odchodził na bok, przyglądał się temu, co zrobił, i zaraz wracał do pracy. Zaznaczał światło, które miało rozjaśnić obraz. Miał w oku miarę, która pozwalała mu z milimetrową dokładnością znaleźć punkt, którego szukał. Robił szkice i jeden po drugim odstawiał na bok.

Nigdy za dużo, powtarzał sobie w duchu, bo choć pewien był tego, co robi, wiedział, że to, co najlepsze przyjdzie w odpowiedniej chwili.

Goniły go terminy. Siedem obrazów, które do tej pory odebrał di Verrua, budziły zachwyt całej Antwerpii. Z podziwem przyglądał się im zazdrosny Snyders, małomówny van Dyck, który właśnie na moment zjechał z Londynu i delikatny Seghers Miał się czym chwalić. Amor i Psyche, dzięki jego wyobraźni, w każdym obrazie byli inni i tylko równe, szerokie pociągnięcia pędzla, dawały oglądającym pewność, że wszystkie obrazy wyszły spod tej samej ręki. Zachwyt oglądających był tak wielki, że któregoś dnia usłyszał propozycję, która zbiła go z nóg.

Specjalnie dla niego zjechał do miasta najstarszy z potężnych Fuggerów, augsburskich bankierów, dla których żadne pieniądze nie były zbyt wielkie. Mężczyzna, który dawno przekroczył sześćdziesiątkę, wciąż był przystojny, choć jego oblicze szpeciły czerwone brodawki, które starannie maskował stalowosiwą brodą. Próbował nakłonić go do oddania mu zamówionych obrazów.

– Di Verrua? – nie kojarzył nazwiska z osobą. – Kardynał powiadacie? Dzięki mnie możecie mieć zamówienia od Rzymu po Nowogród.

Któż się mógł mierzyć z Fuggerami. Może Medyceusze? A i to nie na pewno. Nawet królewskie dwory, zadłużone w ich bankach, musiały ulegać ich kaprysom. Mieli w swych zbiorach dzieła największych. Już choćby to powinno go było skłonić do rozważenia propozycji. Nikt rozsądny nie odrzucał takiej możliwości.

– Prawnicy obalą waszą umowę, mistrzu – zdecydował obejrzawszy dokument.

Ale nie uległ. Podjął gościa wystawnym obiadem, obiecał, że i dla niego będzie kiedyś malował i zapomniał. Zapomniał tak, jak zapominał o całym

bożym świecie, kiedy siadał do rysunku. Czuł, że te obrazy, dwadzieścia dwa wielkie płótna dadzą mu nieśmiertelność, zrównają z największymi, że nawet Paul Peter, choć pozornie nigdy z nim nie rywalizował, zostanie za nim. Pracował jak szalony, dni zlewały mu się z nocami, uczniowie chodzili wokół niego na palcach, nikt nie śmiał przerwać mistrzowi pracy, zadać pytania, złożyć niestosownej propozycji. Nawet dzieci nie narzucały się ojcu ze swą miłością.

Choć pracował, od więcej niż trzech tygodni, każdego dnia, podświadomie czekał na przyjazd Włocha. Czekał na jego skromny komentarz, słowo zachęty, błysk w oku. Ale, mimo że majowe słońce dawno już zaszło, nie słyszał, aby ktokolwiek dobijał się do de Halle van Lier, jak z przyjemnością nazywał swój dom. Hala Bluszczowa. Dom zawdzięczał to określenie nie tylko roślinom opasującym zewnętrzne kolumny, wymyślne krużganki i podesty, które sam projektował, ale i malunkom, którymi opasał domowe korytarze.

Scaglia di Verrua spóźniał się bardziej niż kiedykolwiek w ciągu tych kilku miesięcy. Z każdym dniem nabierał podejrzeń, że jego nieobecność nie jest przypadkiem. Do tej pory nie zdarzyło mu się spóźnić więcej niż o dzień, dwa. A i to tylko dlatego, że drogi były zimą niezbyt przyjazne podróżnym.

A jednak wieczorem doczekał się gościa. Zamiast karocy podjechał jednak pod dom skromny powozik, który w żaden sposób nie mógł być kojarzony z purpuratem. Wytoczył się z niego opasły jegomość w kapeluszu, który starannie osłaniał twarz, w podniszczonej opończy i takimże samym obuwiu. Kazał woźnicy czekać, a sam z energią, o którą trudno go było posądzić, zakołatał do drzwi.

– Mistrzu – skłonił się Jordaensowi w sposób, który równie dobrze mógł być z jego strony wyrazem szacunku, jak i zniecierpliwienia.

Podał mu pismo w zalakowanej kopercie. Jacob w słabym świetle nie widział zbyt dobrze. Zadzwoił na Lysbeth i poprosił o jeszcze jedno łuczywo. Razem z nią do salonu weszła Catharina. Miała dziś ciężki dzień. Ledwie wróciła z podróży do wciąż biedniejszej Gandawy, a od rana musiała się mierzyć z płaceniem dostawcom i najemnym robotnikom. Mimo świetnych zarobków męża, podejrzewała, że rozbudowując dom do takich rozmiarów, podjęli się dzieła ponad ich siły.

Jordaens przeczytał pismo, gestem dłoni wskazał gościowi krzesło, a sam bez słowa czekał, aż i Catharina zapozna się z wiadomością. Jak to możliwe? Ot, tak, po prostu, był i nie ma? Ile lat mógł być starszy od niego? Pięć, sześć? I dlaczego w takim momencie? Od dziecka był oswojony ze śmiercią, rodzeństwo, rodzice, sąsiedzi, tylu malarzy, ale za każdym razem odejście było niespodzianką.

– Panie. – Catharina, jak zawsze potrafiła szybciej niż on zapanować nad emocjami. – Przywozisz nam smutną wiadomość.

Lorenzo Sabionetta kiwnął głową. Czuł dziwny zapach w komnacie.

– To smutna wiadomość dla wszystkich. Kardynała oplakuje nie tylko rodzina, ale i papież. Jego choroba – nie pytany, postanowił zdać im relację z ostatnich dni di Verrua – była tak gwałtowna, niosąca tyle bólu, że nawet modlitwa, której pogrążony w paraliżu, oddał się całkowicie w ostatnich godzinach, nie uśmierzyła cierpienia. Trzeciego dnia żaden medyk nie mógł mu już pomóc. Zasnął przygarnięty przez Pana.

Dłuższą chwilę milczeli, jakby śmierć Włocha stanęła między nimi, oddzieliła ich od siebie. Przybysz skulił się i oparł na podstawkach siedzenia. Jordaens dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie tylko mówienie,

ale i rozumienie flamandzkiego musiało mu sprawiać duży kłopot. Starał się więc wypowiadać każde słowo powoli i wyraźnie.

– Pismo księdza Agostino...

– Ksiądz Agostino – Sabionetta machnął pogardliwie dłonią i zbulgotał jakimś włoskim słowem, którego nikt poza nim samym nie dosłyszał. – Ksiądz Agostino niewiele wiedział. Był sekretarzem kardynała, ale nie zdobył jego zaufania. To dzięki mnie napisał do mistrza. Kardynał zabierał mnie w każdą podróż...

Chciał sobie przypisać jakąś zasługę? Oczekiwał z ich strony podzięków? Zapłaty?

– Wiecie, panie, że kardynał złożył u mnie zamówienie?

Włoch kiwnął głową.

– Wiecie więc zapewne, skoro wam się zwierzał – tym razem to Catharina wzięła na siebie ciężar rozmowy – że odbierał zamówione obrazy.

Sabionetta znów kiwnął głową.

– W takim razie, wiecie też zapewne, że zamówienie nie jest ukończone.

Mężczyzna jeszcze raz kiwnął głową. Widział te siedem płócien pełnych nie tylko jedzenia, ale i obfitych kształtów boskich kochanków, łamiących zakazy, już zalotnych, ale jeszcze nieśmiałych, spoglądających na siebie w świetle lampy, przyciąganych wbrew klątwie cudownej Wenus, w opozycji do niej, w udreće, ale i szczęściu, jakby odnajdywanym na przekór bogom. Cenił to malarstwo choć wychowany na włoskich mistrzach, nie był pewien jego wartości, wydawało mu się, że postaci są zbyt wielkie, a ich skala nieproporcjonalna w stosunku do płótna. Ale jaki z niego był znawca?

– Czy przywieźliście więc pieniądze?

Tym razem grubas rozłożył bezradnie ręce.

– Jestem tylko posłańcem, panie – z włoską galanterią uznał za stosowne zwracać się tylko do Jacoba.

– To zamówienie okryte było tajemnicą. Ale wy, panie – Catharina nie zwracała uwagi na żadne formy grzecznościowe – chyba wiecie, kto je składał.

– Nie, pani. Kardynał – jeśli to było możliwe, Włoch skulił się jeszcze bardziej, jakby kobieta przyłapała go na kłamstwie – miał swoje sekrety.

– Przecież zabierał was w swoje podróże...

Skonfundowany Sabionetta nerwowo zginał i prostował palce złożonych ze sobą dłoni.

– Nie zwierzał mi się ze wszystkich swoich tajemnic, pani.

– Taki szmat drogi jechaliście do nas, tylko po to... – Jacob zdał sobie sprawę, że pytanie, które chciał zadać, jest co najmniej niestosowne.

Posłaniec patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma. Widocznie zdał sobie sprawę, że wiadomość o śmierci Scaglii di Verrua niosła ze sobą coś więcej niż tylko smutną informację.

– Ktoś musi po nim dziedziczyć – Catharina znów wzięła rozmowę na swoje barki. – Umowa, tak czy inaczej, zobowiązuje obie strony. Czy wiecie – mówiła do Sabionetty, ale patrzyła na męża – ile pracy zostało włożone, ile wysiłku, ile w tym czasie można było zarobić? Wszystko przecież kosztuje.

Czuła, że musi wyrzucić z siebie całą bezsilność. Złość, która ją opanowała była silniejsza od dobrego wychowania. Wiedziała, że Jacob znajdzie chętnych na swoje płótna, ale takie zamówienie nie zdarza się każdego dnia. I tyłu odmówił. To ona przecież utwierdzała go w przekonaniu, że te obrazy dadzą mu coś więcej niż satysfakcję.

– Pani. – Włoch wreszcie zrozumiał, że to nie Jordaens jest tu najważniejszy, a w każdym razie nie tylko on – Kardynał ma braci, ma siostry...

– Muszą zapłacić.

Jacob dostrzegł w twarzy Catharine niż tylko determinację. Nigdy dotąd nie była tak zawzięta.

– Będziemy się domagać wypełnienia umowy. Niech im pan to przekaże.

– Boję się...

Nie dała mu skończyć.

– Proszę im to przekazać. Jeśli nie, pójdziemy do sądu.